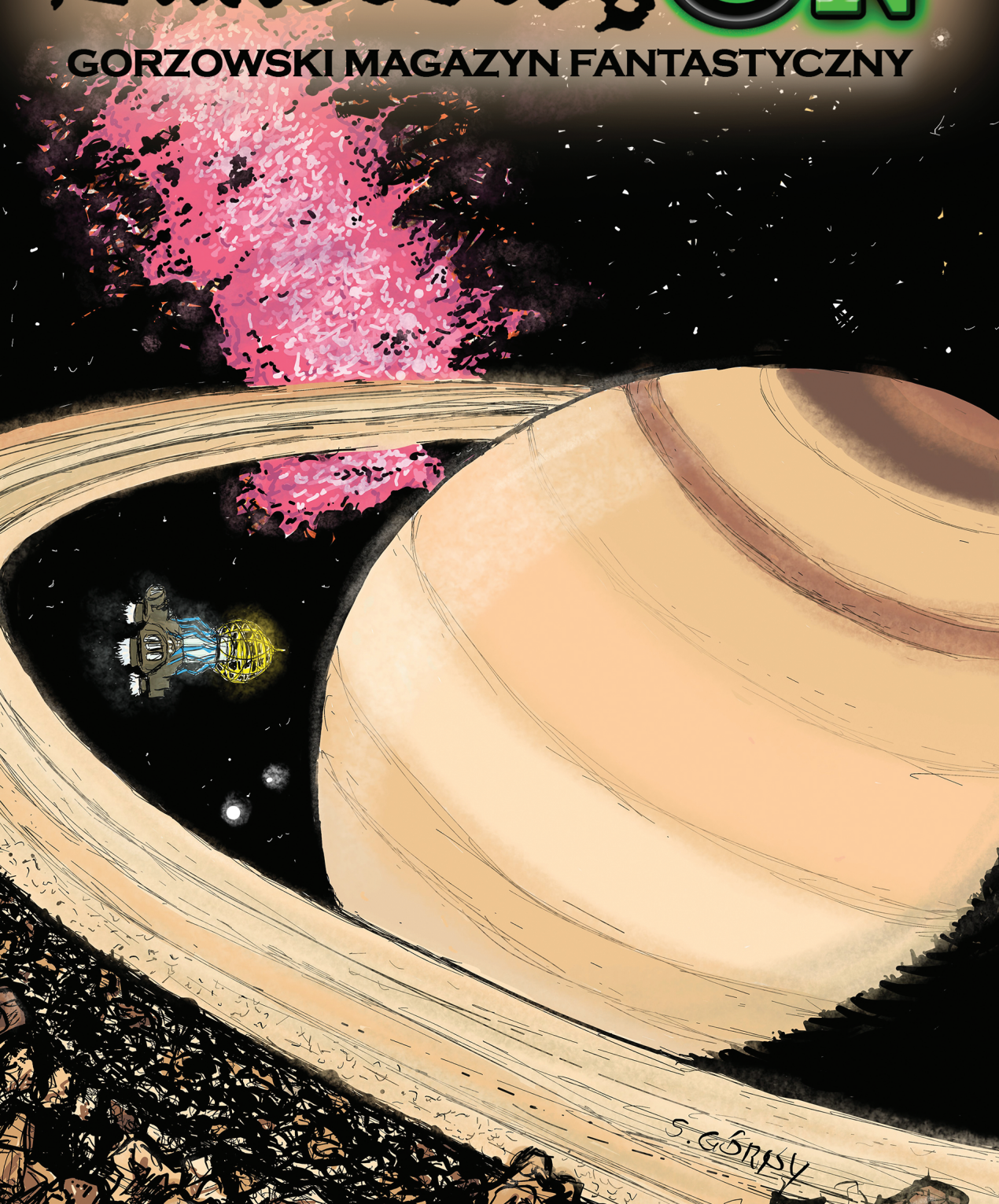


ISSN 2657-5280

NUMER 2(14)/2024

Landsberg N

GORZOWSKI MAGAZYN FANTASTYCZNY



„Gorzów zawsze wybacza tym, którzy z Niego zrezygnowali” – wstępniak naczelnego

Utopia i antyutopia to tematyka najnowszego „LandsbergONu”. Idealna okazja, żeby opowiedzieć o idealnym mieście, czy też o Mieście, jak pisze o Gorzowie Wielkopolskim Magdalena Kubacka w swoim opowiadaniu, z którego zaczerpnąłem tytuł mojego wstępniaka. Autorka nadaje Miastu cechy żywego systemu, który dba o mieszkańców, zaspokajając ich wszystkie, nawet nieuświadomione potrzeby. I wybacza wszystkim tym, którzy z Niego zrezygnowali (piękne słowa w kontekście odpływu z Gorzowa Wielkopolskiego młodych ludzi i dwuznaczne, biorąc pod uwagę treść opowiadania naszej nowej autorki). Cóż za wspaniałe miejsce! Joanna Łebkowska kreśli zaś w tym numerze wizję świata, w którym „ważniejsza jest resocjalizacja niż bezkompromisowe umieszczanie wszystkich w zakładach karnych”. Trudno się nie zgodzić. Michał Narożniak prezentuje Gorzów Wielkopolski jako miejsce bezprecedensowego gospodarczego sukcesu. Wystarczyło oddać miasto w zarząd prywatnym firmom. Wreszcie koniec nieudolnej politycznej i urzędniczej biurokracji! Krzysztof Poradziński zaś snuje opowieść o świecie, w którym możemy wreszcie pozbyć się problematycznych myśli dzięki elektronicznym wszczepom. Błogość, szczęście, spokój umieszczone wprost w mózgu! Znając jednak historie różnorodnych utopii, podskórnie wiemy, że w tych światach, w tych Miastach, coś musi być nie tak. Już u Tomasa Morusa, z którego XVI-wiecznego eseju zaczerpnęliśmy termin „utopia”, w jego idealnym świecie praktykowane jest nie-

wolnictwo jako forma kary, a za recydywę cudzołożników skazuje się na śmierć. Żadna utopia, czy to literacka, czy polityczna, nie kończyła się dobrze, nie radząc sobie z problemem zła, surowo karząc tych, którzy nie odnajdywali się w „idealnym” świecie i izolując od skażonego niedoskonałością świata (utopia Morusa powstała dopiero, gdy półwysep odcięto od otoczenia, tworząc wyspę, a współczesne utopie polityczne prowadzą politykę izolacionistyczną). U Kubackiej, Łebkowskiej, Narożniaka i Poradzińskiego wizja idealnego świata szybko przeradza się w koszmar. Aby go nie doświadczyć trzeba zanurzyć się w Matriksie, oddać wolną wolę, zapomnieć o prawdziwej przeszłości, wrócić. Bo Gorzów Wielkopolski zawsze wybacza tym, którzy z Niego zrezygnowali.



Mariusz Sobkowiak
Redaktor naczelny

Miasto o ciebie zadba

Mamo!

Cieszę się, że postanowiłaś do mnie napisać, chociaż to trochę zabawne. Kto w tych czasach pisze jeszcze papierowe listy? No, ale skoro włożyłaś już w to tyle wysiłku (widzę, że sama zrobiłaś papier i kopertę), to pomyślałam, że odpowiem w ten sam sposób. Mam nadzieję, że Miasto nie będzie miało nic przeciwko – lubi mieć wszystko w idealnym porządku, w Systemie, a poczta w tym kraju... wiadomo.

Szkoda, że nie chcesz do mnie przyjechać, pogoda u nas jest na pewno dużo lepsza niż u Ciebie – wiesz, że Miasto dba o to, żeby temperatura nas nie zabiła – nie to, co w innych miastach. Nie rozumiem, jak możecie z własnej woli zgadzać się na to, żeby paliło was słońce i żebyście musieli sami starać się o cień i wodę. Podobno nawet wybuchły u was zamieszki z tego powodu? Mamo, jeśli na zewnątrz robi się zbyt niebezpiecznie, musisz tu wrócić, Miasto o Ciebie zadba, zrozumie Twoją chęć powrotu. Gorzów Wielkopolski zawsze wybacza tym, którzy z Niego zrezygnowali, więc i Ciebie zaakceptuje. Naprawdę, obiecuję mi, że jak tylko zrobi się źle albo ten okropny, wszędobylski pył, o którym piszesz, nie pozwoli wam swobodnie oddychać, wrócisz do mnie i do normalnego życia. Póki co, wysłałam dyspozycję do Systemu, żeby wysłał Ci zapas maseczek – trochę musiałam się o nie dopraszać – zazwyczaj dostajemy wszystko, czego nam potrzeba, ale przecież tutaj nie mamy z nich za dużego pożytku. Ostatnio leki do Ciebie nie dotarły, ale może tym razem nie będzie problemu. Poprzednio Miastu nie spodobało się wysyłanie zasobów poza Granice, ale teraz na pewno się uda. Dostałam obietnicę, że tym razem nie będzie problemu.

Powiedziałam, że będę robić remont – nawet nie kłamałam, Gorzów Wielkopolski

wie, że w przyszłym tygodniu zamierzam odświeżyć kuchnię. Sam mi to zasugerował przy corocznym Badaniu Stanu Miasta. Nie musiałam nawet za dużo myśleć nad kolorem ścian, rodzajem mebli, wymianą okien... mogę się dzięki temu skupić na tym, na co mam ochotę – na przykład pisać do Ciebie albo... albo... no, co tam akurat będę chciała. A jeśli stwierdzę, że akurat nie chcę robić niczego konkretnego, to żaden problem, Miasto samo wybierze dla mnie zajęcie. Ale nie bój się, nie będzie wyłącznie wykorzystywać mnie do pracy, wybierze też filmy do obejrzenia, muzykę do słuchania, nawet wypożyczy dla mnie książki z biblioteki – bez żadnego wysiłku z mojej strony! Mówię Ci, Mamo, od ostatniego roku to miejsce zmieniło się nie do poznania. Wystarczyło tylko ograniczyć zewnętrzne wpływy, wybrać odpowiednich rządzących – takich, którym naprawdę zależy na naszym dobrobycie – i zobacz, jak dobrze nam się żyje. Może i nie tak łatwo mi stąd wyjechać, ale kto by chciał – oczywiście oprócz Ciebie i kilku Twoich znajomych – mieszkać poza tą wspaniałą enklawą i każdego dnia myśleć o tym, jak przeżyć. Po co się tak przejmować i tyle myśleć, skoro można mieć Miasto, które podejmuje decyzje za ciebie?

Nawet nie wiesz, jak lekki czuje się człowiek, gdy zdejmie się z niego całą odpowiedzialność. Jaka to wolność...

Magdalena Kubacka – rodowita gorzowianka, rocznik '92. Trwającą od dziecka hiperfiksację na słowa, litery i znaki typograficzne przekształciła w ścieżkę kariery. Niedawno zadebiutowała w czasopiśmie literackim „Pegaz Lubuski”. Od rzeczywistego świata coraz częściej woli fantastyczne.



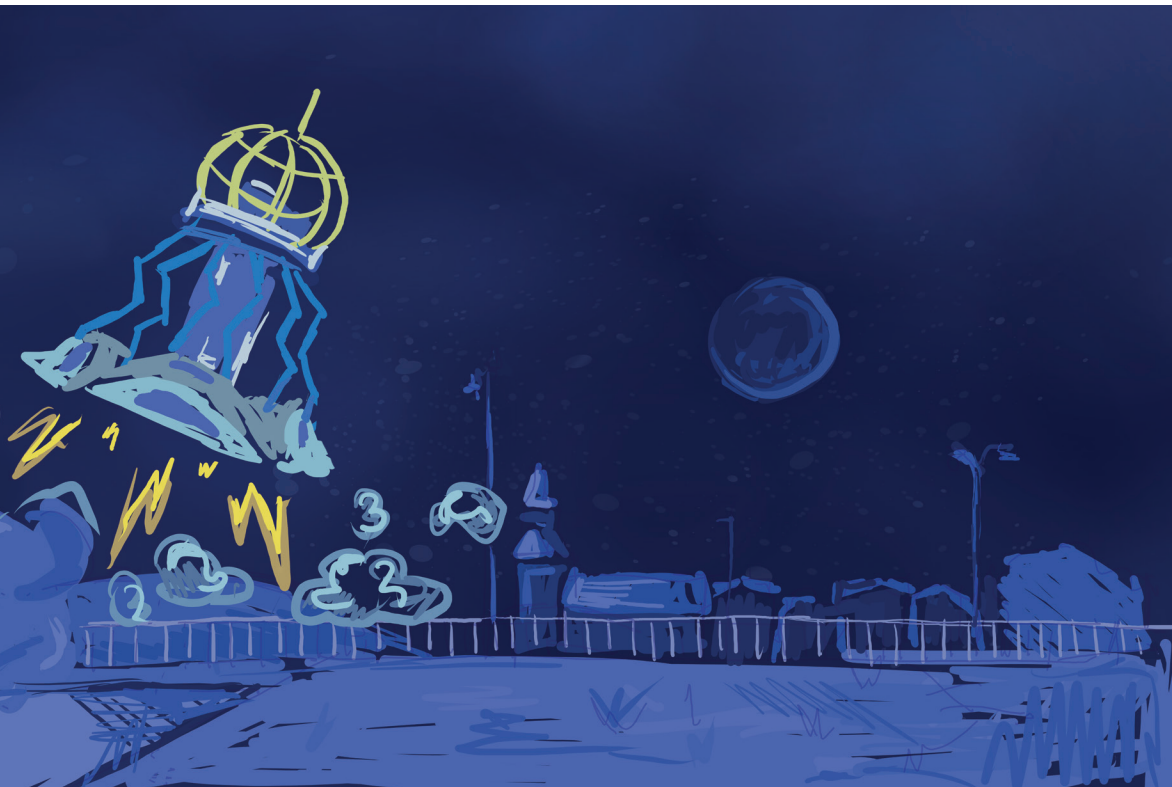
RODEM Z ORWELLA

Wzrok swój uniósł z niechęcią. Spojrzał w górę i ani trochę nie zaskoczyło go to, co zobaczył. Chciałby rzucić pełne żalu *Szkoda!* na widok, który mu się ukazał. A jednak nie był zaskoczony otaczającym go krajobrazem. Zaznajamiał się z tym pejzażem już bez większego przejęcia. Z każdym dniem coraz mniej się już nawet opierał przed uznaniem go za całkowicie normalnego, pasującego do rzeczywistości, która nadeszła. Realiów nie tylko zdziwaczałych, ale i pozbawionych jakiegokolwiek zmysłu estetyki.

Nadal uważał za tandetę setki małych monitorków, wyświetlających neonowe napisy, pędzące na złamanie karku od prawej do lewej, obwieszczając kolejne reklamowe hasła bez ładu i składu. Dokładnie takie, jak ten tuż nad wejściem do dziewiętnastowiecznej kamie-

nicy, którą skutecznie oszpecono materiałami reklamowymi. Niegdyś beżowe ściany, teraz mieniły się setkami krzykliwych barw. Dawniej prawdziwie urokliwe, prostokątne okna, teraz zakryte przez plandeki z nieczytelnymi napisami, złożonymi z nachodzących na siebie chaotycznie wyrazów w różnych kolorach.

Bezszyfrowe czcionki i bezpłciowe slogany. To wszystko zakrywało nie tylko tę jedną kamienicę, stojącą nieopodal ruchliwego ronda, ale i całą ulicę. Uliczkę dawniej oczarowującą, przynajmniej w jego opinii, bujną zielenią, czystością chodników z kostki brukowej i strzelistością kościoła o ścianach białych jak obłoki, których próbowała sięgnąć jego kwadratowa wieża. A jednak już nic nie zostało z tamtej okolicy. Pozostała tylko tanizna i kicz, zastępujące



Grafika autorstwa **Kamili Zygmunt** - pochodzi z małej wioski w okolicach Gorzowa Wielkopolskiego. To właśnie w tym mieście rozpoczęła swoją edukację artystyczną w Liceum Plastycznym. Edukację kontynuowała na Akademii Sztuki w Szczecinie, by później wrócić do Gorzowa Wielkopolskiego i tu prowadzić swoją działalność. Zawodowo zajmuje się głównie identyfikacjami wizualnymi i prowadzeniem tożsamości marek. Ponadto eksploruje wszelkie formy dwuwymiarowego wyrazu artystycznego – od malarstwa po plakat czy sitodruk. W swojej pracy działa głównie na dwóch frontach: eksplorowanie tekstur i koloru oraz dążenie do maksymalnej prostoty przekazu.

<https://kamilazyportfolio.my.canva.site/>
<https://www.behance.net/kamilazygmunt>

to, co przez wieki uznawano za najznamienitszy poziom kunsztu artystycznego. „Wyższy level zajebistości” – tak by to pewnie nazwali młodzi swą nowomową niczym z Orwella, którego żadne pokolenie jego rodaków najwyraźniej nie przeczytało ze zrozumieniem.

Dlatego też pożegnał się z pustą parcelą, na której dawniej mieściła się para-

fia z białym kościółkiem jako siedzibą. Zerknął jeszcze przelotnie na dawne fundamenty, na których postawiono oslepiający kierowców telebim, a potem popchnął nienaoliwione drzwi kamienicy.

Jak mógł się spodziewać, bo przecież mu współcześni niczym nie byli w stanie go zaskoczyć, wewnątrz nie prezentowało

się lepiej niż zewnętrzna fasada budynku. Przy schodach stał stojak z ulotkami. Z kolei barierki przy samych stopniach były prowizorycznym stelażem dla transparentów, podobnie jak ściany. Te ostatnie ze szczególnym namaszczeniem zostały udekorowane twórczością rodem z opakowań płatków śniadaniowych.

Każdy kolejny krok w takim otoczeniu był dla niego istną katorgą. Nogi zupełnie nie niosły go ku górze, ku szczytowi wyjątkowo wysokiej klatki, w której zasłonięte plakatami okna nie mogły dostarczać światła dziennego. Czuł się jak Syzyf. Ten, o którym też już przestali uczyć w szkołach te ślepe na sztukę dzieciaki, żyjące tylko generowaną przez sztuczną inteligencję grafiką. Orwella by jeszcze zrozumiał, pomyślał sobie, wchodząc po tych schodach niczym ten antyczny bohater. Może zbyt propagandowy, ale co dzieciom szkodzi ten cholerny Syzyf? Tylko ten kamień wnosi na górę. I polega jak nieudacznik. Tak jak ja, wchodząc tu co tydzień, rozmyślał bez celu.

– O, pan Krzyżanowski! – zawołał nagle jakiś piskliwy głosik.

Znał ten głos. Natarczywy, jazgotliwy nawet. Sztucznie podekscytowany, bo akurat tacy jak właścicielka głosu uwielbiali się ekscytować. Wszystkim, pewnie nawet pistacjowym latte ze sklepu jakiegoś światowego giganta. Uwielbiali też innym narzucać te swoje uniesienia. Nie tak jak to było kiedyś. Takiemu Syzyfowi nikt w jego cierpieniu takim wyszczerzem nie przeszkadzał, wyglówkował znowu ten, którego nazwano Krzyżanowskim.

– Czwarty miesiąc z rzędu, panie Marku – obwieściła mu dziewczyna w bordowych włosach.

Tego dnia akurat w bordowych. Tydzień temu była blondynką. A wcze-

śniej szczyła się rudą czupryną. Może oryginalnie była szatynką. A może nie, bo dziewczyny w jej wieku tak często farbowały włosy, że nikt nie pamiętał oryginału. W każdym razie taką ją widział po raz pierwszy.

– I ani razu przez ten miesiąc policjanci nie musieli pana do mnie doprowadzać. Mamy super progres! – uświadomiła mu, zapisując coś w zeszycie. Tak, jakby nie wiedział, ile razy ostatnio zrywał się z łóżka z samego rana, by przyjść i posłuchać jej bzdur. – Gotowy na kolejne spotkanie?

– Co tym razem przerabiamy? – zapytał kobiety, której imienia za grosz nie pamiętał. Patrząc na jej wiek, nie umiałby nawet wymówić tego, co wymyślili jej rodzice w dobie globalizacji.

– Zdradzę tylko, że dzisiaj mamy gościa – odparła konspiracyjnym szeptem, po czym chwyciła rozświetlony od powiadomień telefon. Irytujące pikanie komunikatorów wypełniło klatkę schodową. – Myślę, że przypadnie panu do gustu taka rozrywka, panie Krzyżanowski – dodała znad ekranu smartfona i wpuściła go na oślep do pomieszczenia.

Wszedł do tego pokoju niczym skazaniec. Powłóczył nogami, dyszał z niezadowolenia, ledwie zlustrował już tam obecnych. Nie było zresztą nic ciekawego do oglądania w tych ludziach. Znali się od lat. Zresztą w większości wypadków wpadli wspólnie. Sprowadzono ich tu po jednej nieudanej akcji. Akurat w mieście przebywał jeden z ważniejszych polskich polityków. Jeden z tych młodych przedsiębiorców, którzy odziedziczyli bogactwo po rodzicach, a potem sprzedali ten kraj korporacjom. Firmom, które oblepiły wszystkie ulice generowanymi przez sztuczną inteligencję plakatami i wyprowadziły potajemnie Orwella z podstawy programowej.

Za to dali tym dzieciakom więcej czasu do ślęczenia przed telefonami.

Mieli wszystko zaplanowane. Plan był dobry. Przynajmniej w jego mniemaniu. Główny rynek, a na nim wielka scena w miejscu, gdzie niegdyś stała zabytkowa katedra. Oczywiście też zburzona, jak ten biały kościółek. Mieli idealne okoliczności w tym gąszczu ludzi, billboardów i ekranów, błyszczących w oczach widowni jakiegoś propagandowego spotkania z politykiem, którego nazwiska już żaden z nich nie pamiętał. Wszystko szło zgodnie z przewidywaniami. Mogli zmienić rzeczywistość raz na zawsze. Albo przynajmniej zginąć na tamtej scenie jako męczennicy, symbol ruchu

oporu, którego załóżkiem byli. Gorzowscy przeciętniacy, Kowalscy i Iksińscy – randomy, jak mówiły teraz dzieciaki. I prawie przestali nimi być, gdyby tylko nie chybili.

No i tak znaleźli się w tym jednym pomieszczeniu, witając się jedynie suchym kiwnięciem głowy. Takim zrezygnowanym. Bo co im zostało?

– Niech pan siada – zwróciła się do niego dziewczyna, a sama stanęła za krzesłem jakiegoś staruszka, którego jeszcze nigdy tu nie było.

Pocziwy był z wyglądu. Może nawet zdradziecko życzliwy, bo jego błękitne oczy miały w sobie jakieś stłumione podniecenie. Coś, co widział w ich twarzach,



Jakub Stiller

zanim wpadli po tamtej sytuacji na rynku. Starzec, niczym stary znajomy, przywiódł mu na myśl dawne wspomnienia. Przeniósł Marka pamięcią w tamto lato i w tamten ciepły, lipcowy dzień, który przesądził o końcu ich wielkiego przedsięwzięcia. O końcu ich przyjaźni. Być może o końcu dawnego świata. Kto miałby teraz siłę walczyć o świat bez telebimów na ulicach, skoro większość młodzieży była jak ta bezimienna dwudziestolatka w zbyt krótkiej spódniczce i bieliźnie zamiast bluzki?

– Oto pan Waldemar. Pan Waldemar jest inaczej znany jako pierwszy rewolucjonista, który zbuntował się przeciwko władzom Nowej Polski tuż po zmianie rządów. To właśnie dla niego stworzono ten program. To właśnie pan Waldek udowodnił, że ważniejsza jest resocjalizacja niż bezkompromisowe umieszczanie wszystkich w zakładach karnych! – poinformowała zgromadzonych znów rozradowana, ale wtedy rozbrzmiał dzwonek telefonu. Zmarszczyła brwi już mniej zadowolona. – Dobra, panowie, wy rozmawiajcie, a ja zaraz wrócę. Przez ten wiec polityczny mamy sporo roboty – wyjaśniła i wybiegła bez pardonowo z pokoju.

Wszyscy zamilkli. Nawet na siebie nie spoglądali. Dlatego znali na pamięć te krzykliwe grafiki na ścianach. Oglądali białe orzełki w połączeniu z logami korporacji, które praktycznie rządziły teraz ich państwem. Nic intrygującego, ale pomagało nie spoglądać sobie w oczy. Taki był ich niemy układ. Znów... Plan był dobry. Gorzej z wykonaniem, bo pan Waldemar wcale nie odpuścił. Wciąż uśmiechał się sztucznie, choć życzliwie, do wszystkich.

– No to co, panowie, jak się tu znaleźliście? – zapytał wreszcie, słysząc jak dziewczyna trajkocze na klatce schodowej. – Były chęci i był plan, ale coś

nie zadziało, prawda? – spytał stary rewolucjonista, który przetaił szlaki wielu kolejnym, teraz resocjalizowanym w miejscach podobnych do tych.

– Plan był dobry – zaśmiał się wreszcie Krzyżanowski, gdy nikt się nie odezwał. – Tylko chybiliśmy.

– Oj, panowie, zdarza się najlepszym – machnął ręką Waldemar, staruszek o twarzy pocziwej, lecz o oczach zdradzających wigor. – Ja byłem wojskowym i chybiłem. Tylko w amerykańskich filmach buntownik trafia za pierwszym razem. Próbowałem pięciokrotnie i zobaczcie, jak tu teraz siedzę zdziesiądziesiąty. Bez sukcesu na koncie.

– A to pan próbował niejednokrotnie? – zdziwienie Marka sięgnęło zenitu. Głowy wszystkich uniosły się na Waldka. – Przecież jest pan flagowym przykładem działania tego programu!

– Gdyby wyleczyli mnie tym swoim programem resocjalizacyjnym z nienawiści do tego pstrokatego świata pełnego technologii i reklam, naskakujących na mnie z każdej strony, nawet na spacerze, to już dawno by mnie nie było. Jestem tu, bo wciąż próbuję – zaśmiał się szczerze pierwszy rewolucjonista Nowej Polski. Choć zdecydowanie nie ostatni.

– Czyli co? Ten program nie działa? – próbował ustalić jeden z dawnych towarzyszy Marka.

– Patrząc na to, że przyjechałem do Gorzowa Wielkopolskiego specjalnie na ten wiec, który się tutaj odbywa... Najprawdopodobniej w ogóle – śmiech Waldemara wprowadził ich w dobry humor. Już nie oglądali plakatów na ścianach. Spoglądali na siebie nawzajem, podeksytowani jak ta dziewczyna na korytarzu. – Chcecie dołączyć panowie? Mam gotowy plan. Raźniej będzie z wami.

– A jak znowu chybimy? – zapytał Krzyżanowski, myśląc o konsekwencjach.



Jakub Stiller – zamieszkały w malowniczym Zdroisku, tuż pod Gorzowem Wielkopolskim. To właśnie tutaj, w Gorzowie Wielkopolskim, spędził większość swojego czasu, chodząc do szkoły, a także w gronie przyjaciół. Jeszcze w czasie nauki w Liceum Plastycznym został doceniony jako artysta i miał okazję zadebiutować wystawą w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim, stając się najmłodszym twórcą, prezentowanym w tej przestrzeni. Jego prace pojawiały się także na Nocnym Szlaku Kulturalnym w klubie Mixcooltura, gdzie można je podziwiać do dziś. Stała ekspozycja jego obrazów znajduje się w kawiarni Trzy Światy na ul. Sikorskiego, a czasami kilka z nich można znaleźć również w Skarbach Skandynawii, gdzie właściciele wspierają promocję lokalnych artystów. Właśnie tam można zobaczyć mniejsze grafiki, akty czy obrazy jego autorstwa, co wzbogaca lokalną ofertę artystyczną.

– No to chybimy – wzruszył ramionami Waldek. – Tak bywa w życiu. I spotkamy się tutaj w kolejny poniedziałek. Ale przynajmniej nikt nam nie zarzuci, że nie próbowaliśmy. A nuż uda nam się zlikwidować raz na zawsze te brzydkie telebimy z ulic.

– I te monitory z neonowymi sloganami? – podekscytowanie Marka rosnęło w oczach.

– Jak ten nad drzwiami tej kamienicy? – dopytał Waldemar, a wszyscy pokiwali zgodnie.

– Te szczególnie. Większej tandety niż to nie znam. Myślałem, że odejdą w zapomnienie na początku wieku. A ja dalej, kiedy mogę, uszkadzam je przy okazji nocnych spacerów. Nie nadażam ich niszczyć, zaraz naprawiają i montują nowe – oburzył się, na co roześmiali się chóralnie.

– Panowie, już jestem! – zawołała dziewczyna, tak intensywnie pisząc coś na telefonie, że o mało nie wpadła na krzesło Waldka. – Ten wiec... Strasznie dużo organizacji...

– Pani to organizuje? – niby zdziwił się staruszek, zerkając małymi oczkami na kobietę o bordowych włosach.

– Tak, akurat ja.

– A ma pani może jeszcze wolne wejściówki? – Bezimienna dziewczyna była zaskoczona tym pytaniem Waldemara, ale nie zdążyła nawet odpowiedzieć, gdy ten zaczął swą tyradę. – Chciałbym zabrać panów na takie spotkanie, aby pokazać im, co dobrego przyniosły nam te wszystkie zmiany. Wie pani, jakie są te nasze Zetki. Jak byli młodzi, wróżyliśmy im świetlaną przyszłość, a jak skończyli? Tylko się buntują. Temu pokoleniu trzeba pokazać postęp, inaczej nie odpuszczą – starzec sprzedał tę gadkę wręcz popisowo. Oscar za aktorstwo, choć Oscary też już zniesiono, bo znudziły się nowym pokoleniom. Za długa ceremonia,

jak tłumaczyli.

– W zasadzie może mieć to walor edukacyjny... – zastanowiła się kobieta, przygryzając wargę, o mało nie zahaczając o jeden z licznych kolczyków. – Dobra, zgoda, panie Waldemarze!

– No i świetnie. A teraz przejdźmy do tego, po co tu przyjechałem!

Znów odwrócili wzrok na te karykatury na ścianach. Tym razem jednak uśmiechali się szeroko do wygenerowanych postaci. Mieli w głowach dawny Gorzów Wielkopolski, w którym się urodzili i wychowali. Wspominali cegląstą katedrę, a nie jakieś krzykliwe telebimy. Przypominali sobie ten biały kościółek o murach zbyt pięknych na pierwszą lepszą parafię w stutysięcznym mieście na zachodzie Polski. Tej jeszcze starej Polski. Wracali pamięcią do kamienicy nieodnowionej, lecz wolnej od reklamowych zdobień. I cieszyli się, że pojawił się choć cień szansy, aby wymontować z jej fasady ten tandetny, neonowy napis. No i może wprowadzić Orwella z powrotem do podstawy. O ile dzieci z bordowymi włosami zechcą go jeszcze czytać.

Joanna Łebkowska - absolwentka jednego z gorzowskich liceów, studentka prawa w Poznaniu. Miłośniczka fantastyki od początku swojej przygody z czytelnictwem. Autorka tekstów prozatorskich z gatunku fantasy, dystopii, postapokalipsy i horroru. Fascynatka historii i kultury regionu, a także badaczka-amatorka mitologii słowiańskiej i lokalnych wierzeń.



Trenov Yuriy Yaroslavovich (Volchan) – rocznik 1963, urodzony w mieście Mikołajów (między Odessą a Krymem). Życia i malarstwa uczył go jeden człowiek – jego ojciec, Volchan Ivan Alekseevich, stąd też pseudonim – Volchan. Nie ma ulubionego gatunku czy kierunku, jest „wszystkożerny” – od klasycznego realizmu po absolutną abstrakcję. Na swoich marinach często przedstawia „ten sam” statek, ale w otoczeniu zupełnie różnych detali. W młodości nauczył się nie tylko malować „stateczki”, ale również je budować. Pracował w największej stoczni ZSRR. Przyznaje, że ma słabość – uwielbia fantastykę! Artysta na płótnie jest w stanie stworzyć „niemożliwe połączenie możliwych elementów”. A jednak najwięksi filozofowie i naukowcy ludzkości nie znaleźli odpowiedzi na podstawowe pytania wszechświata: Gdzie jest początek czasu? Skąd pochodzi materia? Jaki jest sens istnienia samego wszechświata?

Jego prace możecie obejrzeć na żywo w galerii obrazów w sklepie plastycznym Da Vinci przy ul. Drzymały 16 w Gorzowie Wielkopolskim.

Sukces

– Tato, to było takie miasto Gorzów?

– Miasto?

– Tam jest tak napisane.

Syn wskazywał obelisk, stojący na środku parku. Przyjeżdżaliśmy tutaj od dawna z przedmieść aglomeracji poznańskiej, ale nigdy nie nasza mnie ochota przeczytać, co znajdowało się na tablicy, umieszczonej u stóp pomnika. Wszyscy po prostu nazywali go obeliskiem, czasem ktoś rzucał mniej przystojną nazwą. Powszechnie było wiadomo, że kompleks parkowo-środowiskowy dystryktu Lubuskie-Północ powstał na terenach, gdzie kiedyś znajdowało się miasto i kilkadziesiąt miejscowości. Mało kto jednak w dobie idącej pełną parą kolonizacji Układu Słonecznego przejmował się tym, jak te miejsca się nazywały.

– Tam jest tak napisane – powtórzył malec.

Wstałem i podszedłem do pomnika. Wysoki na dwadzieścia metrów szpi-kulec z czarnego granitu przypominał wskazówkę zegara słonecznego. U jego podstawy przyśrubowano tablicę.

Pamięci mieszkańców miasta Gorzów, którzy w obronie ludzkiej godności i planety dnia 21.05.2093 wyszli na ulicę, by zrzucić okowy korporacyjnej tyranii Obszaru Gospodarczego i ponownie zjednoczyć się z ojczyzną.

Brzmiało pompatycznie, ale i tak mnie zaintrygowało. 2093 rok to nie był wcale tak odległy czas, a nie przypominałem sobie, by uczono nas o jakimś zrywie w tym regionie.

Niezaprzeczalną zaletą papieru jest to, że jest fizyczny. Przez globalną sieć

przewinęło się kilka cyfrowych wojenek stoczonych przez AI, którymi nawzajem poszczuli się władcy wielkich mocarstw. Praktycznie wszystko, co było podłączone do sieci, odczuło tego skutki. Wielkie internetowe encyklopedie i bazy danych? Wszystko trzeba było budować od nowa. Bardzo wiele wiedzy przetrwało do XXII wieku tylko dlatego, że jej „kopie zapasowe” istniały na papierze. Nie rozumiałem jednak, dlaczego tworząc nowe zbiory w globalnej sieci publikowano w niej wybiórczo, prawie wyłącznie nauki ścisłe. Całe szczęście tych „mniej ważnych” książek nie niszczone, po prostu spoczywały spokojnie w bibliotecznych katakumbach i od czasu do czasu ktoś sobie o nich przypominał.

Czekałem chwilę, gdy w końcu drzwiczki windy rozsunęły się. Bibliotekarka wyjęła ze środka zamówione książki i zaczęła skanować kody z ich okładek.

– Jest pan pasjonatem lokalnych historii? – zagadnęła.

Uśmiechnąłem się uprzejmie.

– Nie... po prostu zaciekawiała mnie historia jednego pomnika, obok którego spacerowałem. – Kobieta odwzajemniła uśmiech i skończyła skanowanie. – Przyjrzałam się pana dowodowi. Jest pan urzędnikiem.

– Zgadza się.

– Mógłby mi pan powiedzieć, co się właściwie dzieje?

– Nie rozumiem.

– Chciałabym się dowiedzieć od kogoś... dobrze zorientowanego, czy dojdą do porozumienia z kolonistami, czy trzeba szykować się na najgorsze.

– Obowiązuje mnie tajemnica – powiedziałem z pełną powagą. Nie odpowiedziała nic, ale wyraźnie wi-



Trenov Yuriy Yaroslavovich (Volchan)

dać było po niej zakłopotanie.

– Rozmowy trwają. Póki jest jakikolwiek dialog, najczarniejsze scenariusze się nie spełnią, cokolwiek by nie mówiono – powiedziałem uspokajająco.

Bibliotekarka uśmiechnęła się z ulgą. Jako funkcjonariusz publiczny miałem obowiązek dbać o dobre imię rządzących i o współobywateli. Także o to, by nie zaprzęтали sobie głów pewnymi sprawami. Na przykład tym, że wspomniany „dialog” przypominał tak naprawdę rozmowę dwójki obrażonych dzieci. Że politycy bali się, że koloniści się uniezależnią i Ziemia przestanie mieć nad nimi jakąkolwiek kontrolę. Że to uniezależnienie było już faktem, tylko większość ważnych osób nie potrafiła tego przyjąć do wiadomości. Że potrzebne wszystkim porozumienie było torpedowane przez grupy interesów, które nie dostaną dostatecznie dużego „kawałka tortu”. Że to opóźnianie mocno hamowało proces naprawy ekosystemu planety i ustabilizowania go po tym, jak przez dziesięciolecia był dorzynany nieodpowiedzialnym gospodarowaniem zasobami naturalnymi.

Utrzymałem uśmiech, pomimo że czułem jak mi skacze ciśnienie na myśl o tym wszystkim. Pożegnałem uprzejmie bibliotekarkę i wyszedłem.

XXI wiek był czasem wielkich niepokojów i konfliktów. Zaczął się obiecująco, a potem kryzysy wybuchały jedno po drugim. W drugiej połowie stulecia doszły kataklizmy, spowodowane zmianami klimatycznymi, czego skutki w wieku XXII staramy się uprzętać. W zeszłym stuleciu podjęto takie starania, ale były one doraźne albo w charakterze pozorowania działań. Ważniejsza była walka mocarstw o zasoby i dominację. Prawdziwe działania podjęto, kiedy sprawy nie można już było zignorować lub zakrzyczeć. W tym ciekawym okresie państwo polskie (aktualnie część Unii Północnoatlantyckiej) w poszukiwaniu dodatkowych zasobów i technologii zdecydowała się na dość karkołomny krok. Wytypowano jedno miasto (na tyle małe, by nie było istotne w skali kraju i na tyle duże, by można mówić, że jest

zasobne) do tego by, w uproszczeniu, wynająć je inwestorom.

Tym miastem był Gorzów.

Projekt ten nazwano Gorzowskim Obszarem Gospodarczym (GOG). Dzieląc się częścią przychodów z państwem podmioty inwestujące w miasto mogły nim z dużą swobodą zarządzać. Międzynarodowych firm z nadmiarem pieniędzy było dużo, więc znaleźli się chętni do zrobienia z Gorzowa zaplecza kadrowego i żywej reklamy swych możliwości.

Wszystkie źródła, jakie pobrałem z biblioteki, zgadzały się co do jednego: pierwsze lata były wspaniałe. Ludzie po kilku dekadach nijakich i chaotycznych rządów pragnęli w końcu sprawczości i skuteczności ze strony włodarzy. A nowi włodarze-inwestorzy (co do jednego wielkie korporacje) błyskawicznie władowały w miasto potężne ilości pieniędzy, które działały jak dotyk zaczarowanej różdżki. Wielkie projekty industrializacyjne i modernizacyjne ruszyły z kopyta. Obywatele, po ewidencji i klasyfikacji, dostali oferty pracy skrojone pod nich samych. Stworzono nowe szpitale oraz przychodnie. Rozwinięto infrastrukturę, zadbano o tereny zielone. Z tygodnia na tydzień wszystko się zmieniało. Wielkie fabryki pojawiały się jak grzyby po deszczu, każdy miał pracę, godziwe pieniądze i miejsca, gdzie mógł je wydawać.

A przecież był to dopiero początek!

W cały świat szły tony materiałów reklamowych. Pokazywały, jak podejście biznesowe z zachowaniem najwyższych standardów etycznych tworzy na fundamencie empatii i kompetencji cudowne, nowoczesne miasto. Miasto... sukcesu.

Tak. Tym miał się stać Gorzów. Sukcesem.

Ten stan rzeczy przetrwał zaledwie kilka lat.

Pierwszym symptomem, że dzieje

się coś nie tak, były obrady o podziałach finansowania infrastruktury do filtrowania powietrza i ścieków przemysłowych. Koszty znacząco przekroczyły pierwotnie wyliczoną kwotę, bo inwestycja wymagała ciągłej rozbudowy wraz z powstawaniem kolejnych fabryk. Klócono się o podział kosztów, a tymczasem mieszkańcy oddychali zatrutym powietrzem. Konsensus osiągnięto, gdy pojawiły się pierwsze ofiary śmiertelne i konieczne było wypłacenie odszkodowań.

Po tym wydarzeniu wizerunek miasta sukcesu zaczął kruszeć. Według statystyk coraz mniej środków przeznaczano na inwestycje, a coraz więcej na działania naprawcze i kary umowne. Odnotowano regularny spadek jakości produkowanych dóbr. Wzrosła znacząco liczba skarg na łamanie i naganianie praw mieszkańców oraz zobowiązań wobec nich. Państwo interweniowało zwykle ze znikomą skutecznością. Dziennikarze zauważali, że urzędnicy i politycy, którzy mieli mieć pieczę nad GOGiem, często byli widziani w towarzystwie korporacyjnych oficjeli, od których dostawali dość drogie prezenty. Pomimo znaczącej poprawy opieki zdrowotnej coraz więcej mieszkańców zgłaszało się z przewlekłymi schorzeniami, powstałymi w wyniku kontaktu z niebezpiecznymi substancjami.

Władze GOGu konsekwentnie milczały we wszystkich tych sprawach i nie podjęły żadnych widocznych działań. Gdy przychodnie zaczęły pękać w szwach, zaczęto określać sygnalistów panikarzami. Gdy ludzie podjęli się sprawdzania, czy infrastruktura oczyszczająca powietrze działa poprawnie, władze kazały służbom porządkowym ścigać ich. Gdy obywatele próbowali opuścić miasto, nagle dostawali grzywny i groźby ścigania ze swoich miejsc pracy.

To wszystko trwało, aż nastał dzień,



Trenov Yuriy Yaroslavovich (Volchan)

gdy infrastruktura oczyszczająca całym przestała działać. Oficjele przed kamerami w końcu przyznali, że jest problem, ale trzeba się teraz skupić na pomocy miastu, a nie szukaniu winnych. Oczywiście nikt z nich nie zarządził zastopowania fabryk i powietrze nad Gorzowem stawało się z każdym dniem bardziej toksyczne. Wydano wszystkim maski i zakazano w czasie wolnym od pracy wychodzenia z domów. Cokolwiek się bowiem działo, produkcja miała iść.

Tłumy wyszły na ulice i ruszyły do dzielnicy biurowej, z której bardzo szybko ewakuowali się korporacyjni oficjele, nakazując służbom porządkowym i ochroniarskim pacyfikację tłumy przy użyciu siły. Był to straszliwy dzień w dziejach Gorzowa. Znalazło się dość twardogłowych typów gotowych bezmyślnie rozkaz władarzy wykonać. Na przemoc odpowiadano przemocą. W wyniku zamieszek spłądowano i zniszczono biurowce oraz fabryki.

Wieści poszły w świat i wobec takiej sytuacji państwo musiało zainterweniować. Do Obszaru wkroczyło wojsko

oraz policja. Dostali zadanie deeskalowania sytuacji i przywrócenia kontroli nad Obszarem. Pojazdy jadące ulicami były śledzone przez beznamiętne wizjery masek, gdy tłumy milczały zubożniałe na pojawienie się w końcu przedstawicieli państwa, które ich opuściło. Przez następne dni wyłączono fabryki i zaczęto badać infrastrukturę czyszczącą. Okazała się buble – audyt wykazał użycie dużo tańszych, za to bardzo słabych materiałów, a w dodatku całość nie była należycie serwisowana. Zaczęły się przepychanki na szczytach odnośnie interwencji państwa i praw, jakie miały podmioty rządzące GOGiem. Chodziło o wizerunek, straty i inne tego typu rzeczy. Mieszkańcy Gorzowa mieli inne zmartwienia na głowie – dużo bardziej przyziemne, bo z wypędzeniem władarzy całe funkcjonowanie miasta trzeba było organizować na własną rękę.

We wszystkich tych relacjach uderzyła mnie pewna kwestia. Pytanie cisnęło się na usta: „Czemu przy takich możliwościach, takich zasobach i takim doświadczeniu te wszechmocne korporacje nie były w stanie uniknąć tych

wszystkich problemów?”

Odpowiedzi na to pytanie udzielił mi pamiętnik gorzowianina Grzegorza Frezera, który pracował w biurowcu Meta Materials Company. Człowiek ten opisał od strony kulisy, co działo się w mieście. Błaha sprawa z finansowaniem maszyn oczyszczających wystarczyła, by zburzyć porozumienie między firmami, które okazało się być na pokaz. Zaczęto walczyć o kontrolę nad GOGiem poprzez podkopywanie pozostałych inwestorów lub starając się ich wykupić. Takie przestawienie priorytetów zaowocowało problemami z produkcją w fabrykach oraz zaostrzeniem walk o stołki wewnątrz firm. Z ludzi zaczęło wychodzić to, co najgorsze. Problemy narastały. Rzetelni ludzie, którzy starali się naprawiać sytuację, byli wykorzystywani. Gdy załamywali się od zrzucania na nich wszystkiego, byli karani i zastraszani. Powstały chaos odbijał się wyraźnie na wynikach finansowych.

Liczyby były bezwzględne i niepodatne na zaklinalanie rzeczywistości.

Frezer tak opisywał relacje w swojej firmie między lokalnym szefostwem a władzami korporacji:

„Wyraźnie słyszymy, jak Rada Nadzorcza wrzeszczy na lokalny Zarząd, że sabotują wizerunek firmy. Nasz kompleks przemysłowy ma być wielkim sukcesem. Nasi dyrektorzy słuchają tyrady ze spuszczoneymi głowami, po czym zarzekają się, że wszystko jest winą poprzedników i konkurencji. Pada temat infrastruktury czyszczącej i skandalu z zachorowaniami. Dostają rozkaz zajęcia się sprawą. Słyszymy, jak ustalają wersję do przedstawienia mediom. Gdy jeden pyta o maszynę, zostaje zrugany, że tym trzeba zająć się po cichu, najlepiej, jak ludzie stracą zainteresowanie. Zapytałem potem Mariusza, czemu nie wyłożą pieniędzy na naprawę.

Z krzywą miną wyjaśnił mi, że zrobienie tego byłoby przyznaniem się do błędu. A skoro przed kamerami wszyscy, konkurencja też, mówią że GOG to sukces, to coś takiego byłoby zaprzeczaniem temu sukcesowi. Wyszliby na niepoważnych. A czy zaprzeczanie rzeczywistości nie jest niepoważne? Wariactwo.”

„Kolejny tydzień, gdy Rada coraz głośniej karci i żąda ‘sukcesów’, a kierownictwo coraz gorliwiej obiecuje poprawę i ich dostarczenie. Brzydnie mi już to słowo. Chodzą plotki, że mają zacząć wymieniać dyrektorów i managerów, tylko nikt nie chce przyjeżdżać z zagranicy do GOGu i się tego wszystkiego tykać. Już gołym okiem widać idące z oczyszczaczy kłęby pyłu... Gnoje...”

Kolejny weekend spędzaliśmy z synem w Lubuskim-Północ pod pomnikiem na cześć mieszkańców Gorzowa. Jedynym, co nie pozwalało mi się odprężyć, to ciche brzmienie radia w aparacie na moim uchu. Pomimo że miałem dzień wolny, byłem zobowiązany wysłuchiwać komunikatów, nadawanych przez ministerstwo administracji, któremu podlegałem. Aktualnie przemawiał jeden z komisarzy zajmujących się sprawą negocjacji między Ziemią a resztą Układu Słonecznego.

Osiągnęliśmy porozumienie w kwestii wzajemnego wsparcia. Dla dobra Ludzkości. Dla dobra nas wszystkich. Jednak nie możemy spoczywać na laurach. Musimy śmiało patrzeć w przyszłość. Musimy stawiać sobie nowe, ambitniejsze cele!

Przechodziliśmy obok pomnika, gdy zobaczyłem dwójkę mężczyzn w kombinezonach roboczych służby publicznej, pracujących przy tablicy pamiątkowej. Zdejmowali starą i zawieszali nową. Gdy się oddalili, podszedłem, czując ukłucie

niepokoję.

Nie wolno nam jednak zapominać o lekcjach przeszłości! Historia jest nauczycielką życia! Musimy od niej brać inspirację do radzenia sobie z wyzwaniem, przed którymi stajemy!

Nowa tablica była prostą taflą matowego szkła:

„Pamięci mieszkańców miasta Gorzów”

Głos komisarza w komunikatorze sta-

wał się coraz bardziej natarciwy.

Tylko w ten sposób możemy osiągnąć jako Ludzkość prawdziwy i niepodważalny sukces!

Michał Narożniak - jest rodowitym gorzowianinem, miłośnikiem literatury, przyrody oraz szermierki historycznej. Na równi ceni sobie domowe zacisze, jak i dzikie ostępy. W wolnej chwili zwiedza z rodziną tajemnicze zakątki naszego regionu.

Za minutę czterdziesta czwarta

Komisarz pędził swoim stalowym wozem przez dwupasomową arterię, łączącą dwie strony rzeki, niczym szew zablizniający ciętą ranę. Choć w tym przypadku powiedziałby raczej, jak nieudolne cerowanie dwóch kawałków ciała zabójcy.

Dwie połówki miasta, przy którym jin i jang były nieodróżnialnym szumem tła, łączył most, będący od zawsze in creatio, w przebudowaniu, w rekonstrukcji. Jakby jakaś idealna forma, osiągnięta na drodze kosztownych prób i błędów, miała zrównoważyć dysharmonię obu dzielnic i wprowadzić Miasto z rowu, w jaki wjechało dawno temu. A może nawet w tym rowie się narodziło, jako owoc szalonej miłości niemieckiego rycerza i bagiennej nimfy.

Takie myśli to był luksusowy towar. Komisarz mógł sobie na nie pozwolić, bo miał odblokowany moduł interfejsu BrAIN, czyli tego ustandaryzowanego gniazodka, zlokalizowanego tam, gdzie kiedyś była ponoć czakra korony. Na szczycie głowy.

Ludzie trochę protestowali, gdy MNEME wprowadziła nakaz instalowania konektora w każdym nowo narodzonego człowieka. Jakieś grupki zielonych sponsorowane, jak dziś nikt nie wątpi przez Chiński Portal Porządku, rozkręciły kampanię sprzeciwu. Porównywali to do wiercenia Indian w świętych miejscach, że oto biały

człowiek, po zbeczeszczeniu wszystkich sakralnych wzgórz i rozfedrowaniu świętych miejsc, zwrócił ostrze swojej intencji ku samemu sobie. Do wewnątrz. W Ostatni Bastion.

Tak się nazywała organizacja, która wbrew wszelkim zapisom prawa popełniała zbrodnie hakowania ludzkiego interfejsu. Byli dosłownie cyberantyszczepionkowcami. Wierzyli w jakieś brednie (o co nietrudno, gdy gmera się przy interfejsie) i co rusz słyszeć można było o nieprzyjemnych aferach, jakie z tego wynikały.

Ale argumenty zdroworozsądkowe na szczęście wygrały, przeważały. Eksperci byli jednomyślni – zamontowanie gniazda, umożliwiającego podłączenie szeregu urządzeń peryferyjnych, umożliwi przede wszystkim skuteczne ekranowanie przed złymi myślami. Dzięki temu już od małego człowiek mógł obchodzić się bez całego tego zbioru niepotrzebnych trudności, które kaleczyły i wykoślawiały nóżki duszy jak niegdyś zapomniane infekcje, na które dziś nie było nawet nazwy, co świadczy o wielkim postępie.

Wszystko to było elementem szkolenia policjanta, a szczególnie śledczego komisarza klasy C4, czyli najwyższej, pędzącego przez miasto. Niósł światło rozumu w postaci błyskającego wściekle policyjnego ko-

guta i pędził na wezwanie z kodem 34-A-BR-32. Kod, który znał jedynie teoretycznie, jedynie ze szkolenia. Kod, będący zarezerwowanym na sytuację, która teoretycznie mogła się wydarzyć, ale wiesz... Teoretycznie wydarzyć się może absolutnie wszystko. Czarne dziury były kiedyś tworam teoretycznymi. Teoretycznie to może sobie istnieć i ujemny czas. Ale teraz, w czystej praktyce, ktoś gdzieś wcisnął czerwony guzik i akurat trafiło się to na jego warcie. Kod 34-A-BR-32, czyli mówiąc żargonem policyjnym – „Przejście”. Hipotetyczne wydarzenie, czyli pojawienie się dorosłego człowieka, będącego całkowicie poza kontrolą systemu MNEME. Człowieka, mogącego pomyśleć dosłownie wszystko, a w rezultacie doprowadzić do implozji całego systemu. Kiedyś, podczas szkolenia BHP w szkole, komisarz jako dziecko widział demonstrację tego, co się stanie, gdy do toalety wrzuci się mocną petardę. To teraz pomyśl, że całe duchowe szambo wybija we wszystkich umysłach ludzi. System MNEME miał bowiem swoje słabe strony, a najsłabszą z jego słabych stron był Człowiek. A komisarz był od tego, by korygować i czuwać. Czuwać i korygować.

Zahamował z piskiem opon pod rozpadającą się rudera. Waląca się kamienica w części miasta, która, gdyby to od niego zależało, byłaby już dawno wyburzona, a jej mieszkańcy przeformatowani. Gdyby to od niego zależało, może wtedy nie byłby w tej sytuacji, w której się znalazł. Na przybycie wsparcia mógł liczyć za około kwadrans. Tak się złożyło, że był jedynym w mieście, mającym odpowiednie uprawnienia. Zwykli policjanci mogli tylko zaszkodzić.

– No – pomyślał – po to spędziłeś 20 lat na szkoleniu w zamkniętym państwowym ośrodku, po to medytowałeś przez setki godzin, wsłuchując się w pusty szum magnetofonu. Po to to wszystko, byś teraz nie spartolił.

Westchnął i otworzył drzwi. Na zewnątrz był ciepły, jesienny dzień. Nad dachem kamienicy formował się już mentalny Hortex, promieniujący zjonizowanym vibem. Wziął głęboki oddech, postawił kołnierz i wszedł w ciemne podwórko.

Dzieci nie zwróciły na niego żadnej uwagi. Siedziały na kamiennych schodkach, wpatrzone tępo w cyfrowe halucynacje. Na ziemi zauważył puste fiolki po akceleracji. Odwrócił wzrok i ruszył przed siebie. To była sprawa dla obyczajówki, a nie Wydziału Mentalnego.

Prowadzony przez aplikację bezbłędnie nawigował. Drzwi na klatkę były oczywiście otwarte. Ludzie, mieszkający tu, nie za bardzo wiedzieli, czy chcieliby uciec czy raczej się schronić. Żyli jakby z jednocześnie wciśniętym gazem i hamulcem. TO tworzyło specyficzny nastrój, któremu nie sprzyjało zamykanie drzwi.

– Jakim cudem Przyjście miało miejsce tu? – pomyślał. – Może to pomyłka. Błąd systemu. – Zaraz jednak przypomniał sobie vortex wirujący nad dachem, który widział przed kamienicą. Miał pewnie z 9 w skali Aspergera, a może i więcej. Z pewnością nie był zwykłym smogiem elektromagnetycznym.

Stanął przed drzwiami do mieszkania i nacisnął kłamkę. Miedziana, mająca pewnie ponad 200 lat mrowiła, niosąc po swojej powierzchni ładunki jak krople wody, tańczące na rozgrzanej patelni. Poczul, jak rozplywa się łaskotany i dotykany, jakby cały był językiem, na który ktoś wylał sok z cytryny. Za dużo, za dużo tego.

Wszedł do środka. Stare mieszkanie wypełniały książki i sprzęty elektroniczne. Ze zdziwieniem zauważył kilka odbiorników, które na rynku kolekcjonerskim osiągnęłyby niezłe kwoty. Jakies radia do nasłuchu satelit, kilka wzmacniaczy i sprzęt diagnostyczny do lamp elektronowych. I coś, co wyglądało nawet na wojskowe radio. Wszystko było połączone, wszystko

pulsowało niezliczoną liczbą archaicznych ekranów. Albo wręcz wskazówek, podświetlonych po prostu bladymi światłami, jak deska rozdzielcza starych samochodów. Przeszukał mieszkanie, nie znalazł jednak śladu żywej duszy. Nie było specjalnie duże, ale po prostu nikogo w nim nie było. Poza nim.

Wziął do ręki COMSAT, by połączyć się z komendą i donieść o pomyłce, gdy jeden z głośników pod ścianą przemówił:

– Witaj, komisarzy. Jesteśmy tu dla ciebie, a ty dla nas. – Znał ten głos. Nie wiedział skąd, ale znał. Niepewnie odpowiedział:

– Kto mówi? – Co za absurd – pomyślał. – Może to jakiś policyjny test? Kawał? Koledzy z komisariatu postanowili zrobić sobie jego kosztem ubaw?

– Nazywam się ARDO-2 – odpowiedział system. – Mówię do ciebie spoza symulacji. Możesz przerwać teraz połączenie z komisariatem i wybudzić się. Byłeś zanurzony w symulacji szkoleniowej, szkolenie dobiegło końca. Podaję sygnał kodowy...

Gdy wsparcie dotarło pod kamienice, zastała na miejscu samochód komisarza.

Drużyna uderzeniowa z impetem wbiegła na podwórko i skierowała się do drzwi, mijając zanurzone w halucynacji dzieci. Stałą natychmiast jak zamurovani. Na ziemi leżał komisarz, a trzy piętra wyżej bezgłośnie krzyczało okno z wybitą szybą. Wokół ciała leżały potłuczone kawałki szkła. Zabezpieczenie medyczne bez entuzjazmu zajęło się natychmiast swoją robotą. Zespół uderzeniowy wbiegł po schodach na górę. Po wyważeniu drzwi zastał całkowicie puste mieszkanie. Jedyne, co można by było nazwać wystrojem mieszkania, to wielki czarny napis na ścianie: *Ostatni bastion – ciągle walczy!*

Krzysztof Poradziński – zawodowo na co dzień kapłan Merkurego w obrządku własnym, wspomagany komputerowo. Mieszka w superpozycji między Gorzowem Wielkopolskim a Krakowem. Szczególnie zainteresowany kwestiami myślenia symbolicznego, filozofii, historii i matematyki. Po godzinach uprawia speedrunning gorzowskich bibliotek.



Trenov Yurij Yaroslavovich (Volchan)

Gantz – jak wypada kultowe anime 20 lat po premierze?



Gantz to jedno z tych anime, które zyskało sławę już od pierwszego odcinka, bowiem giną w nim główni bohaterowie. Trafiają do tajemniczego pokoju i okazuje się, że muszą na ulicach Tokio walczyć z kosmitami, a misje stopniowo stają się trudniejsze. Bohaterowie albo ostatecznie umierają, albo wracają do świata żywych po otrzymaniu 100 punktów (pozbycie się jednego wroga to 10 punktów lub mniej). Adaptacja mangi Hiroyi Oku zadebiutowała na ekranach w 2004 roku. Natychmiast przyciągnęła uwagę widzów brutalnością, niepokojącym klimatem oraz unikalnym podejściem do tematu życia po śmierci. 20 lat później, kiedy świat anime znacznie się zmienił, spróbuję odpowiedzieć na pytanie, czy Gantz nadal jest w stanie zaintrygować współ-

czesnego widza. Czy fabuła, postacie i styl animacji wciąż wywołują te same emocje, które fascynowały widzów na początku XXI wieku? Sprawdźmy, jak Gantz przetrwał próbę czasu i czy nadal zasługuje na miejsce w panteonie klasyków anime.

Na początku był...

Każdy odcinek *Gantz* rozpoczyna się od utworu RIP Slyme – *Super Shooter*, który według mnie jest najlepszym openingiem anime w historii, i nic się w tej kwestii nie zmieniło. Nadal buja tak samo jak przy moim pierwszym kontakcie z tą serią, czyli w 2015 roku. Będę dozgonnie wdzięczna *Gantz* za zapoznanie mnie z RIP Slyme, gdyż są moim ulubionym zespołem już od ładnych paru lat.

Animacja i kreska

Kiedy już ucichnie ostatnia nutka **Super Shooter**, pierwsze, co rzuca się w oczy, to animacja. Kreska jest zdecydowanie inna niż ta popularna teraz – z pewnością mroczniejsza, co oczywiście pasuje do tematyki **Gantz**. Niestety, miejscami zbyt mroczna – tła czasem niemal stapiają się z postaciami, nawet w wersji Blu-ray. Seria narysowana jest w stylu typowym dla tamtych lat, szczególnie widać to po włosach, które są jakby rzadsze, mniej fantazyjne. Zdecydowanie na plus są zróżnicowane modele twarzy. Często rażą w anime postacie, które mają takie same facjaty, a różnią się tylko fryzurami i kolorem oczu – tutaj tego nie ma, więc twórcy nie poszli na łatwiznę.

Gantz w wielu miejscach wykonany jest techniką 2,5D, którą od zawsze uważam za abominację i tu wyjątku nie ma. Źle się to zestarzało i kłuje w oczy. Na szczęście nie jedzie na tym całe anime, jak np. w **Niebieskokkim samuraju**. W pierwszym odcinku jest kilka graficznych niedociągnięć (tak, nawet w remasterze), ale później już nie ma się do czego przyczepić. Dodatkowo oczy widza szybko przyzwyczajają się do rytmu animacji.

Muzyka

Abstrahując od perfekcyjnego openingu, **Gantz** w całości może pochwalić się wybitną ścieżką dźwiękową. Widzowi towarzyszy wyjątkowo mozaikowy miks electro, rocka, funku, swingu. W bardziej dramatycznych momentach pojawiają się nawet utwory operowe. Inne kawałki przypominają twórczość legendarnego Aphex Twina. Muzyka tworzy naprawdę świetną atmosferę, podkreślającą to, co się dzieje na ekranie. Dosko-

nałym przykładem jest scena spotkania z pierwszym „przeciwnikiem”: ani bohaterowie, ani widzowie nie wiedzą do końca, co się dzieje, na kogo patrzą, czego się spodziewać... Psychodeliczna, zakręcona, co chwilę zmieniająca się muzyka świetnie oddaje to uczucie skonfundowania.

Akcja

Nie ukrywam, że **Gantz** ogląda się najlepiej podczas tzw. misji. Misje to apogeum całego anime – kulminacja ekscytacji, napięcia i przemocy. Nawet wiedząc już mniej więcej, co się stanie i kto przeżyje, odcinki te ogląda się z zapartym tchem. Podczas każdego zadania nasi bohaterowie muszą zabić jednego lub więcej kosmitów, a ci progresywnie robią się coraz silniejsi. Oku miał kapitalny pomysł z ograniczeniem czasowym – czujemy, że czas biegnie, a zegar na bombie tyka. Pomiedzy misjami odcinki to trochę fillery, skupiające się głównie na historiach bohaterów, ich rodzinach i przyjaciółach. Są oczywiście potrzebne, aczkolwiek lekko przynudzają.

Bohaterowie

Mamy troje protagonistów: Kei Kurono, Masaru Kato i Kei Kishimoto (jedyna kobieta). Kurono zaczyna jako typowy rozwydrzony, egoistyczny nastolatek, który widzi jedynie czubek własnego nosa. Kato to jego przeciwieństwo – altruista, żyje dla rodziny, w szczególności dla młodszego brata. Kishimoto na początku jest dość irytująca i wydaje się istnieć wyłącznie dla warstwy erotycznej. Otrzymała jednak bardzo realistyczne backstory, z którym może utożsamiać się wiele osób, co dodaje postaci głębi i przeciąga na jej stronę widza.

Kato wzbudza sympatię pomimo tego, że jest z deczka jednowymiarowy. Największą przemianę przechodzi natomiast Kei Kurono. Podczas trzeciej misji chłopak jest już absolutną maszyną do zabijania, która nie cofnie się przed niczym, by przetrwać. Udowadnia to w scenie, w której zabija kosmitę, dosłownie wchodząc mu do głowy.

Oprócz głównych bohaterów mamy też mnóstwo postaci pobocznych. Najwięcej czasu ekranowego otrzymują Joichiro Nishi oraz Sei Sakuraoka. Nishi to świetny przykład zobojętnienia i wpływu otoczenia na charakter. Chłopak na pokaz próbuje grać twardziela, lecz ma też sporo racji, np. wytykając Masaru hipokryzję, czy mówiąc o tym, że nikt nie jest obojętny na sensację. Z kolei Sakuraoka to taki powiew feminizmu w **Gantz** – od razu sprawia wrażenie silnej, niezależnej kobiety, która szybko adaptuje się do nowej sytuacji. W przeciwieństwie do Kishimoto nie próbuje „wesprzeć się” na żadnej męskiej postaci.

Finalnie mamy kosmitów, którzy są dla mnie gwiazdami całego przedsięwzięcia. Twórcy popisali się tu naprawdę niezwykle wyobraźnią. Zdecydowanie najbardziej zapadającym w pamięć antagonistą jest Kannon – niepozorny posąg z twarzą Buddy, który ma aż 26(!) rąk, a każda wyposażona jest w inną broń lub artefakt. Dodatkowo Kannon ma ponadprzeciętny słuch i wzrok, a biega szybciej od niejednego sprintera.

Humor i erotyzm

W **Gantz** w większości jedno łączy się z drugim. O ile humor raczej jest ponadczasowy, tak strona erotyczna zestarzała się niemiłosiernie. Wiem, że seks i przemoc są nierozłączne niczym Bolek i Lolek, lecz nie potrzebujemy oglądać co chwilę panty shotów Kishimoto. Z ko-

lei humor nadaje całej produkcji lekkości i charakteru. Już w pierwszym odcinku mamy wyjątkowy gag, w którym słyszymy myśli ludzi na stacji metra. Jeden z pasażerów ponagla pociąg, żeby się nie spóźnił, bo przecież on jedzie dzisiaj na seks.

Werdykt

Choć wielu fanów **Gantz** uważa, że anime było słabą adaptacją mangi, wyjdę im naprzeciw i powiem, że serial broni się jako samoistne medium. Każdy otaku – zwłaszcza fan horrorów – powinien chociaż zapoznać się z **Gantz**. Nadal jest to klasyk, który świetnie się ogląda. I to z taką łatwością, że można go ukończyć w dwa dni. Choć niektóre elementy się zestarzały i mogą się nie spodobać np. przedstawicielom generacji Alpha, inne składniki to wyrównują. Nie jest to tylko „mroczne” anime, które na siłę stara się być „edgy” – fabuła ma wiele do przekazania.

Joanna Sekuła - absolwentka filologii angielskiej Uniwersytetu Gdańskiego, ten sam przedmiot wykłada na Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim. Urodzona w Dębnie, w Gorzowie Wielkopolskim z przerwami (mniejszymi i większymi) od 2007 roku. Tu ukończyła III LO oraz studia licencjackie, tu również poznała miłość życia. Fanka gorzowskiej gastronomii, co roku nie może doczekać się Nocnego Szlaku Kulinarnego. Píše dla portalu Popkulturowcy.pl oraz stawia pierwsze kroki w „Młodym Lubuszaninie”.



STOWARZYSZENIE
NOVUM

Przełącz swój 1,5% na
Stowarzyszenie na rzecz
Innowacji Społecznych
NOVUM

To nic nie kosztuje,
a może dać tak wiele.

Co robimy?



młodzieżowa rada miasta



gry miejskie



telewizja młodzieżowa



LandsbergON

**Wystarczy jeśli wypełniając
deklarację PIT podasz nasz numer**

KRS : 0000600527



**GORZÓW
WIELKOPOLSKI**

Projekt jest dofinansowany przez miasto Gorzów Wielkopolski



Wspierają nas:



MAGAZYN
BIAŁY KRUK

GORZÓW

#StądJestem

przystan

www.gorzow.pl

wwwGORZOWpl

[gorzow_przystan](https://www.instagram.com/gorzow_przystan)



Redakcja i wydawca:

Stowarzyszenie NOVUM
ul. Gwiazdzista 12/88 Gorzów Wielkopolski.
E-mail: landsbergon@gmail.com
Tel. 669-847-078

Red. naczelny - Mariusz Sobkowiak
Zastępca red. naczelnego - Kamil Kwiatkowski
Sekretarz redakcji - Aleksandra Sobkowiak
Korekta - Danuta Gołąbek

Redaktorzy merytoryczni - Sebastian Górny,
Piotr Jakubowski, Paweł Karolczuk.

Skład - Aleksandra Sobkowiak
Druk - drukarniaonline.pl Edward Świrkowicz

Grafika na okładce:

Sebastian Górny - rocznik '76. Gorzowianin z urodzenia i wyboru. Z wykształcenia socjolog z zawodu dziennikarz. Od zawsze miłośnik komiksów, na początku polskich, bo tylko takie były dostępne, później głównie europejskich i amerykańskich.